

Opowieść o wyborach, które definiują człowieka, o miłości, która
przychodzi w najmniej oczekiwanym momencie, i o tym, że
czasem największą odwagą jest pozwolić sobie kochać.

WOJENNE SIOSTRY



ANNA RYBAKIEWICZ

ANNA RYBAKIEWICZ

WOJENNE
SIOSTRY

FILIA

Mojej siostrze Katarzynie
– osobie o najpiękniejszym sercu

PROLOG

Dzień, w którym Śmierć miał wyłonić zwycięzcę zakładu

Kroczyłem za nią bez pośpiechu. Nie na tyle daleko, aby umknęło mi, jak jej drobne ciało drżało ze strachu, ale też nie na tyle blisko, by poczuła mój oddech na karku. A jednak gdy obejrzała się przez ramię, miałem dziwne wrażenie, że już wie. Wie, że się zbliżam. Że idę tuż za nią, niewidzialny dla świata, niewidzialny dla niej, a mimo to obecny...

Nasze spojrzenia przecięły się na ułamek sekundy. Moje oczy – czarne niczym otchłań, bezdenne i zimne – spotkały się z jej – błękitnymi, pełnymi życia. Moje bez wątpienia odzwierciedlały moją prawdziwą naturę. Czy z nią było podobnie? Czy oczy, w które właśnie spoglądałem, dawały mi także wgląd w jej duszę? Tego wciąż nie byłem pewien.

Zazwyczaj gdy się zjawiałem, wyrok był już przesądzony. Każde ludzkie życie, bez względu na jego długość, pozostawiało za sobą bilans dobra i zła. Wszystko, co zostało dokonane za życia, dawało mi jasny obraz. Wystarczyło, że spojrzałem na nieomylną i bezlitośnie

precyzyjną wagę określającą wartość ludzkich uczynków. A ja byłem jedynie wykonawcą tej prawdy, pozbawionym osądu, wolnym od emocji. Ale tym razem... Tym razem było inaczej.

Los dziewczyny, za którą podążałem, wciąż nie był przypieczętowany. Jej serce biło, a szale wahały się, raz przechylając się w stronę światła, raz w stronę mroku. Nic nie było przesądzone. Wszystko miało się dopiero rozstrzygnąć.

Mogła jeszcze zawrócić. Mogła wyrzec się miłości, która prowadziła ją ku śmierci. Wystarczyło, by rozluźniła palce, by wypuściła z dłoni to, co kochała i co jednocześnie popychało ją w moją stronę. Ale nie zrobiła tego. Wręcz przeciwnie – jej uścisk stał się silniejszy, niemal rozpaczliwy. Jakby słyszała moje myśli i chciała się im przeciwstawić.

Powinienem odejść. Moja obecność nie zmieni biegu wydarzeń. Nie ja wyznaczałem jej ścieżkę, nie ja ją tu przywiodłem. Nie ja decydowałem o jej losie. A jednak... czekałem. Coś, czego nie powinienem czuć, kazało mi patrzeć do samego końca.

Spojrzałem na nią raz jeszcze. Czy żałowała? Czy gdyby mogła cofnąć czas, wróciłaby tamtego listopadowego dnia do domu, do kamienicy, w której była bezpieczna? Ludzie w obliczu śmierci robili różne rzeczy: błagali, krzyczeli, walczyli. Tymczasem ona... wyrzekła się życia. Dobrowolnie. I to w imię czego? Miłości?

Nie rozumiałem jej. Nie pojmowałem, dlaczego wybrała śmierć, gdy jeszcze mogła uciec. Chyba że... wciąż miała czas. Wciąż mogła zmienić zdanie. I w tym właśnie momencie obróciła głowę w prawo. Spojrzała w stronę, która dawała jej szansę na życie.

Ktoś mnie popchnął. Wpadłem na nią, a mój dotyk – lodowaty, wszechogarniający – spotkał się z jej rozgrzaną skórą. Wstrzymała oddech, może instynktownie czując, kim jestem. Mimo to nadal nie wypuściła z rąk tego, co było dla niej najcenniejsze. Tego, dzięki czemu żyła i tego, za co warto było – jej zdaniem – nawet umrzeć. Nie wypuściła swojego skarbu. Swojej miłości.

Nie powinno mnie tu być. Dziewczyna nie miała w sobie nic wyjątkowego, a jej śmierć nie będzie się różniła od miliona innych, które widziałem wcześniej. A jednak byłem. Dlaczego? Czysta ciekawość.

Otóż ponad rok temu, pewnego sierpniowego popołudnia, w pociągu jadącym w stronę Łomży miał miejsce pewien zakład. Dwie siostry, śmiejąc się i marząc, postanowiły sprawdzić, która z nich znajdzie miłość, bez której nie będzie potrafiła żyć. To mnie wyznaczyły na sędziego swojego zakładu. Nie rozumiały jednak, że ten, kto mierzy się ze mną, nigdy nie wygrywa.

Za chwilę miał zapasć wyrok. A ja, Śmierć, byłem gotów go wykonać.

Tym samym nadszedł czas, by wyłonić zwycięzcę zakładu.

ROZDZIAŁ 1

Franciszka

Łomża, 15 sierpnia 1941 roku

Przerzuciłam kolejną stronę gazety, szukając w niej jakiegokolwiek artykułu, który choć w najmniejszym stopniu przyciągnie moją uwagę. Na próżno. Miałam wrażenie, że redaktor tego czasopisma był durniem albo, co gorsza, za takich uważał swoich czytelników. Mimo że sama dosyć wcześnie skończyłam swoją edukację, to dostrzegałam wylewającą się z tego pismaka propagandę. Rysunki, na których wylbrzymiono różnice między polskim ziemianinem a niemieckim w okresie żniw, czy zdjęcie przedstawiające Polki jako panny lekkich obyczajów... To wszystko było po prostu śmieszne. Lecz dopiero kiepski dowcip o tym, w jaki sposób powstał krakowiak, ich taniec ludowy, przelał czarę goryczy. Nie mogłam zrozumieć, jak można to czytać, nie zdając sobie sprawy z tych przeinaczeń i manipulacji. Może to dlatego, że sama pochodziłam z Sensburga i miałam co nieco pojęcia o Polakach?

Opuściłam z impetem gazetę na kolana i skierowałam wzrok na siedzącą naprzeciwko mnie dziewczynę, która trzymała w ręku identyczne czytno i niczym gąbka chłonięła każde napisane tam słowo. Nie... To jednak nie kwestia zamieszkania wpłynęła na moje poglądy. Ona powinna myśleć podobnie. Tymczasem moja siostra bliźniaczka wierzyła w te kłamstwa. Co więcej, to ona kupiła te gazety, żeby umilić nam obu drogę.

Westchnęłam, uważnie przyglądając się mojej wiernej kopii. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała na zdenerwowaną. Siedziała wyprostowana, jakby nie spędziła kilku ostatnich godzin w tej samej pozycji, opierając się o sztywne siedzisko naszego przedziału. Dłonie okryte ażurowymi rękawiczkami ułożone miała na niewielkiej torebce. Jednak ja znałam ją jak nikt inny. Nie przeoczyłam żadnego znaku świadczącego o tym, że mimo wszystko obawia się tego spotkania. Co chwilę zagryzała dolną wargę, dosłownie mieląc ją swoimi białymi zębami. Aż dziwiłam się, że jeszcze nie zaczęła krwawić. Jej stopa podrygiwała, a kokarda umieszczona na czubku pantofla rytmicznie unosiła się i opadała. Wcale jej się nie dziwiłam. Miała pełne prawo być zdenerwowana. W końcu to poważny krok. Dla nich obojga. Teraz już nie było odwrotu. Nie wiedziałam tylko, dlaczego uparcie zaprzeczała swoim obawom. Jako dobra siostra, postanowiłam oderwać jej myśli od pewnego przystojnego

oficera, który, o ile wystarczająco mocno ją kochał, powinien już oczekiwać naszego przyjazdu na stacji kolejowej.

– Posłuchaj tego – powiedziałam, zwracając na siebie jej uwagę – *Czterdziestosiedmioletni lekarz, czystej rasy Aryjczyk, którego pragnieniem jest trójka dzieci, w tym co najmniej jedno płci męskiej, poszukuje zdrowej i młodej Aryjki, dziewczyny, przyzwyczajonej do ciężkiej pracy i oszczędnej, niekoniecznie mającej, celem zawarcia związku małżeńskiego w urzędzie stanu cywilnego. Gwarantuję dyskrecję. Pośrednikom dziękuję* – odczytałam na głos anons matrymonialny umieszczony na ostatniej stronie, tuż pod działem „Sprzedam, kupię, wymienię”, po czym z rozmysłem zwinęłam gazetę w rulon. – Droga Adolfinio – zerknęłam na zegarek – masz dokładnie jeszcze pół godziny na zmianę zdania. Może ten lekarz z ogłoszenia byłby lepszym wyborem od tego całego Gustava? – Przyłożyłam gazetę do ust niczym megafon i kontynuowałam: – Uwaga, uwaga! Poszukiwana zdrowa i młoda jasnowłosa dziewczyna! Czy jest tu taka?!

– Przestań! – krzyknęła, nachylając się w moją stronę i wrywając mi z rąk rulon. Zerknęła na śpiącego obok mnie staruszka, którego głowa odchylona była nienaturalnie do tyłu i dostrzegłam ulgę w jej oczach, gdy upewniła się, że ten wciąż śpi z otwartymi na oścież ustami i nie słyszał żartu. Siostra nigdy nie rozumiała mojego poczucia humoru albo tylko udawała,

że go nie rozumie. Zawsze była rozważniejszą, roztropniejszą panną Ludendorff. – Sprawiasz, że zaczynam żałować, że pozwoliłam ci jechać ze mną – mówiąc to, celowo unikała mojego wzroku, skupiona na rozprostowywaniu gazety na niewielkim stoliku pod oknem.

– Pozwól, że ci przypomnę, droga siostró, że to rodzice kazali mi z tobą jechać, jako twojej przyzwóitce. Ty akurat w tej jednej kwestii miałaś niewiele do powiedzenia. Pamiętaj też, że tylko dzięki mnie możesz zamieszkać z Gustavem bez ślubu.

– Bez ślubu, który odbędzie się za dwa tygodnie – wytknęła, powstrzymując się od triumfalnego uśmiechu. Musiałam przyznać jej rację, te zawody akurat wygrała. Choć tak naprawdę nigdy nie brałam w nich udziału. W przeciwieństwie do siostry nie śpieszyło mi się do zamążpójścia, chciałam uszczknąć jeszcze coś z życia, poszaleć, póki byłam młoda.

– Właśnie. Dwa długie tygodnie w jednym domu z obcym mężczyzną. – Cmoknęłam z udawaną dezaprobatą. – Że też rodzice się na to zgodzili...

– Jesteśmy już rok po słowie! – wtrąciła na swoje usprawiedliwienie, rumieniąc się, a ja zachichotałam, rozbawiona jej bojową postawą. Nigdy nie podejrzewałam, że mogłaby przed ślubem z kimkolwiek, nawet z narzeczoną, stracić cnotę. Zresztą oni się nawet jeszcze nie całowali! Te zawody wygrałam już lata temu

z synem sąsiadów, o czym nie omieszkalam z dumą poinformować Adolfiny.

– Nie musisz mi przypominać, jak długo trwa cała ta wasza „miłość”. – Prychnęłam, przewracając oczami. Przez ostatnie dwanaście miesięcy codziennie oglądałam ją siedzącą przy oknie, rozmarzoną, czytającą po raz kolejny list od swojego „ukochanego”. Jedyłą namiastkę kontaktu między nimi.

– Kocham go – broniła się.

– Fina! – użyłam zdrobnienia jej imienia, za którym ostatnimi czasy nie przepadała, a konkretniej od chwili, gdy zaczęła interesować się NSDAP. Wtedy bowiem okazało się, że imię Adolfiny otwiera bardzo wiele drzwi. Od tamtej pory nie przedstawiała się inaczej. – Ty go nawet nie znasz! Widziałas go raz! Jeden krótki raz na przyjęciu weselnym!

– On też mnie kocha i to od pierwszego wejrzenia – brnęła dalej.

– Chyba od momentu, w którym wyznałaś mu jak masz na imię. Adolfiny jest w końcu idealnym imieniem dla żony niemieckiego oficera. Żona Adolfiny to jak wygrana na loterii – tłumaczyłam wyniosłym głosem. – Jestem pewna, że gdyby Hitler miał na imię Franciszek, to na moim palcu błyszczałby ten pierścionek – zasztydziłam, a siostra odruchowo przykryła dłoń z pierścionkiem drugą dłonią, jakbym rzeczywiście mogła jej go odebrać.

– Korespondowaliśmy ze sobą. Sama wiesz, ile listów do mnie przysłał od tego czasu. Wiem o nim wszystko. Tak jak on o mnie. Nasze małżeństwo to nie zachcianka ani głupi wymysł.

– Masz rację, siostró. Wiecie o sobie wszystko: kto będzie pracował, a kto siedział w domu, jak ma wyglądać wasze przytulne gniazdko, ile dziatek ma się w nim pojawić, jaką zupę podasz w poszczególne dni tygodnia... – wyliczałam na opalonych od wakacyjnego słońca palcach. – Ale tak naprawdę go nie znasz. Nie wiesz, czy będziesz jego pierwszą myślą, gdy rano otworzy oczy, czy będzie o tobie myślał na chwilę przed zaśnięciem. Nie wiesz, czy będziesz mogła wypłakać się na jego ramieniu, czy wyciągnie ku tobie dłoń, gdy będziesz tego najbardziej potrzebować.

– Pleciesz głupoty. To, o czym teraz mówisz, to po prostu jakieś mrzonki. Kobiet już teraz jest o dwa miliony więcej od mężczyzn, a przypominam ci, że trwa wojna, z której nie wszyscy wrócą do swoich domów. Wiesz, co to oznacza? Że nie każda dziewczyna będzie miała tyle szczęścia, że miły i młody chłopak jej się oświadczy! Nie każda zostanie matką! A ja pragnę tego ponad wszystko! Mój Gustav jest spełnieniem marzeń każdej Niemki!

– Przypominam ci, że jesteśmy Mazurkami. I nie każdej. Nie moich – dodałam szybko, widząc minę siostry, która już chciała się ze mną kłócić o nasze

pochodzenie. – I jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, zrobię to z miłości do tego konkretnego mężczyzny, a nie wyobrażenia o nim czy dla samej idei małżeństwa.

– Franciszko... – użyła mojego pełnego imienia, robiła tak zawsze, gdy chciała przywołać mnie do porządku. Wtedy przestawałam być po prostu „Fran”. – Jesteś młodsza ode mnie zaledwie o piętnaście minut, a wciąż zachowujesz się jak naiwne dziecko. I mogę się założyć, że zakochasz się w jakimś chłystku, który ci zaimponuje osobowością, niezależnością czy brawurą, ale który nigdy cię nie pokocha tak, jakbyś tego chciała. I nie mówię tego, żeby zrobić ci na złość, a dlatego, żebyś w końcu przejrzała na oczy. Gonisz za niedoścignionym. Pragniesz niemożliwego.

Przekrzywiłam głowę i posłałam swojej siostrze chytry uśmiešek. Od zawsze rywalizowałyśmy, początkowo o uwagę i miłość rodziców, a z czasem o wszystko inne. Stało się to naszym nawykiem. Chyba w ten sposób chciałyśmy zaznaczyć swoją indywidualność, zwłaszcza że jako bliźniaczki wyglądałyśmy niemalże identycznie. Jedyną widoczną różnicą był kolor włosów: moje miały złocisty odcień, a Finy były bardziej mleczne. Poza tym byłyśmy nie do odróżnienia. Dla wszystkich z wyjątkiem naszych rodziców. Oni od momentu naszych narodzin potrafili powiedzieć, która z nas to Adolfina, a która Franciszka. Która jest tą dobrą, a która tą złą. A wszystko za sprawą kolejności, w której przyszłyśmy na świat...

Marzeniem naszego ojca było posiadanie męskiego potomka. I nie było to zwykłe pragnienie czy kaprys. To był jego życiowy cel. Właśnie dlatego na żonę wybrał kobietę, która pochodziła z wielodzietnej rodziny. Nasza matka miała pięciu braci, a wśród nich jedną parę bliźniąt. Ona także miała siostrę bliźniaczkę, która niestety zmarła zaraz po urodzeniu. Zatem ojciec miał pełne prawo oczekiwać, że doczeka się męskiego potomka. Ba! Nawet dwóch jednocześnie! Pierworodny miał mieć na imię Adolf. Wówczas jeszcze nikt się nie spodziewał, jakiego znaczenia to nabierze. Lecz gdy w listopadzie 1920 roku na świat przyszła dziewczynka, ojciec poczuł się zawiedziony, niemniej zmusił się do uśmiechu i stwierdził, że w takim razie córka otrzyma imię Adolfina. Gdy zaraz potem okazało się, że oprócz Adolfiny pojawi się drugie dziecko, na chwilę pojawiła się nadzieja, że będzie upragnionym chłopcem. Urodzona po piętnastu minutach druga córka była ciosem, po którym nigdy już się nie podniósł, zwłaszcza że więcej dzieci nie było im dane mieć. Ojciec rzucił swojej najmłodszej chłodne spojrzenie i nie raczył nawet nadać jej imienia. Matka nazwała mnie Franciszką, łudząc się, że obudzi to w mężu ojcowskie uczucia. Nic bardziej mylnego. Nawet imię samego cesarza Austrii – Franciszka Józefa I – nie ukoiliło żalu w sercu mężczyzny. Już na zawsze pozostałam w jego oczach „rozzarowaniem”. Gdy obie z siostrą coś przeskrobałyśmy, ja jedna dostawałam

lanie. Adolfina mogła kontynuować naukę, dla mnie nie starczyło na to pieniędzy. Zamiast do szkoły, poszłam do pracy, do zakładu fotograficznego, gdzie ojciec załatwił mi posadę. Adolfina jeździła na prawdziwe wakacje, a ja do dziadków do Rechenberga. Nigdy nie czułam się kochana. Ojciec nigdy nie powiedział mi ciepłego słowa, nigdy nie dał mi prezentu, nigdy nie zabrał mnie na spacer. Sprzeciwiał mi się zawsze, kiedy tylko mógł to zrobić. A im bardziej mi się sprzeciwiał, tym więcej łobuzowałam. Swoją pomysłowością prześcigałam chłopców z sąsiedztwa. Wdrapywałam się na drzewa, wkładałam do cudzych ogródków, kąpałam się w samej bieliźnie, a nawet, udając mężczyznę, wzięłam udział w corocznym wyścigu motocyklowym urządzanym w Sensburgu. Z tego ostatniego byłam najbardziej dumna. Zwłaszcza że Adolfina nie miała bladego pojęcia o motoryzacji. Gdy dotarłam do mety, przez chwilę czułam, że jestem tą lepszą z sióstr Ludendorff. Teraz znowu zapragnęłam to poczuć...

– W takim razie zróbmy to! – zgodziłam się z entuzjazmem. – Załóżmy się, która z nas znajdzie prawdziwą miłość.

– Prawdziwą? A czymże jest według ciebie prawdziwa miłość? Przecież ty nawet nigdy nie byłaś nikim zauroczona!

– Może i nie byłam, ale nie myśl, że nie wiem, jak powinna ona wyglądać.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała, krzyżując ręce.

– Prawdziwa miłość to taka, że gdy jedno umiera, drugie nie jest w stanie żyć. Odchodzą razem, bo nie widzą sensu w spędzeniu na tym świecie choćby jednego dnia bez ukochanej osoby. Odchodzą razem, bo nie ma sensu oddychać w pojedynkę. Śmierć jednego jest końcem drugiego.

– Nie ma takiej miłości. To brednie – oburzyła się moja siostra.

– Mylisz się, Adolfino. Pamiętasz starą Madejową z Rechenberga? Byłyśmy na jej pogrzebie. Tydzień później odbył się pogrzeb jej męża. Przeżyli razem siedemdziesiąt trzy lata.

– Może na coś chorowali... – Usilnie próbowała znaleźć rozsądne wytłumaczenie dla śmierci pary starszków w tak krótkim odstępie czasu.

– Tak, chorowali, a ta choroba to... prawdziwa miłość. – Spojrzałam na siostrę, unosząc jedną brew. – To co, tchórzysz?

– Tchórzę? – zapytała, nie bardzo rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Zakładamy się, która z nas znajdzie prawdziwą miłość?

– To głupie... – zaczęła, ale nie pozwoliłam jej skończyć.

– A więc tchórzysz... – Prychnęłam z uśmiechem.

Lipiec 1941 roku. Bliźniaczki Adolfina i Franciszka przyjeżdżają do okupowanej Łomży z Sensburga, każda w innym celu. Jedna, ślepo zapatrzona w ideologię nazistowską, pragnie poślubić niemieckiego oficera i zapewnić sobie stabilną przyszłość. Druga marzy o wolności i niezależności. Podczas podróży pociągiem, z pozoru dla żartu, zawierają zakład: która z nich pierwsza odnajdzie prawdziwą miłość – taką, dla której warto poświęcić wszystko, nawet życie.

Adolfina zatracą się w pragnieniu urodzenia dziecka, które ma dopełnić jej idealny obraz rodziny. Franciszka nie potrafi ignorować rozgrywającego się wokół dramatu niewinnych ludzi. Stopniowo angażuje się w pomoc Polakom. Nieoczekiwanie zakochuje się w Janku, który widzi w niej swojego wroga. Adolfina zaś powoli zaczyna tracić grunt pod nogami, a jeden moment w jej życiu zmienia wszystko – ratuje dwójkę żydowskich dzieci. To, co miało być chwilą słabości, stanie się największą próbą człowieczeństwa.

**Czy siostrzana więź okaże się silniejsza od ideologii?
Która z siostr wygra zakład – i jaką cenę przyjdzie jej
za to zapłacić?**

FILIA

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8402-166-8



9 788384 021668